

Tylko jeden człowiek
może uchronić świat przed chaosem...



PROJEKT KAMMLERA



SCOTT MARIANI

Niniejsza **darmowa publikacja** zawiera jedynie fragment pełnej wersji całej publikacji.

Aby przeczytać ten tytuł w pełnej wersji [kliknij tutaj](#).

Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez NetPress Digital Sp. z o.o., operatora [sklepu na którym można nabyć niniejszy tytuł w pełnej wersji](#). Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody NetPress oraz wydawcy niniejszej publikacji. Zabrania się jej od-sprzedaży, zgodnie z [regulaminem serwisu](#).

Pełna wersja niniejszej publikacji jest do nabycia w sklepie internetowym [Nexto.pl](#).

Scott Mariani

Projekt Kammlera

– fragment –

Tytuł oryginału: ***The Shadow Project***

Projekt okładki: *Karolina Michałowska-Filipowicz*

Redakcja: *Lech Staszkiel*

Redakcja techniczna: *Zbigniew Katafiasz*

Konwersja do formatu EPUB: *Robert Fritzkowski*

Korekta: *Ewa Orzeszek-Szmytko*

© Scott Mariani 2010

All rights reserved

© for the Polish edition by MUZA SA, Warszawa 2013

© for the Polish translation by Wojciech Jędruszek

ISBN 978-83-7758-362-3

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

Warszawa 2013

Wydanie I

Postęp techniczny jest jak siekiera w rękach bandyty.

Albert Einstein

Dogmat chrześcijaństwa powoli ustępuje pod naporem nauki.

Adolf Hitler

Podziękowania

Po raz kolejny autor chciałby podziękować za ogromny wysiłek i entuzjazm wspaniałemu zespołowi redakcyjnemu wydawnictwa Avon – Maxine Hitchcock, Keshini Naidoo i Sammii Rafique.

Rozdział pierwszy

*pustynia Sonora w Arizonie
o godzinę jazdy samochodem z Maricopy
pierwsze dni maja*

Skały i pył, sucha roślinność i kaktusy. Białe, oślepiające słońce. W te okolice już od dawna nikt się nie zapuszczał.

Wśród wiszących w nieruchomym powietrzu tumanów kurzu jechały dwa pojazdy terenowe, podskakując na wyboistej drodze. Pierwszy nich, wielkie srebrne subaru z napędem na cztery koła, zatrzymał się z chrzęstem opon na kamieniach. Wysiadło z niego trzech mężczyzn.

Byli to dwaj Europejczycy i Japończyk. Trzymany na muszce automatycznego pistoletu kaliber .45 Azjata miał związane ręce. Taśmą, nie sznurem, bo sznur pozostawia ślady. Taka sama srebrna taśma zaklejała jego usta, skutecznie tłumiąc krzyk. Koszulka Japończyka była mokra od potu.

Porywacze wiedzieli, że ich ofiara nazywa się Michio Miyazaki i jest naukowcem. Reszta ich nie obchodziła.

Jadący za subaru jaskrawoczerwony jeep cherokee zahamował, siedząca za jego kierownicą kobieta wyłączyła silnik i wysiadła. Przeczesała palcami wilgotne od potu włosy, wytarła dłonie o dzinsy. Panującą ciszę przerywało miarowe pykanie rozgrzanego metalu karoserii i tłumione kneblem jęki więźnia popychanego przez dwóch mężczyzn.

Kobieta obeszła samochód i otworzyła drzwi od strony pasażera. Wzięła z fotela mały pojemnik, który musiała wieźć przez pustynię. Jeep należał do Miyazakiego, na tylnym siedzeniu i w bagażniku spoczywały liczne pudła i skrzynki z aparaturą naukową.

Błękitny pojemnik nie był własnością Japończyka, a jego zawartość ważyła niewiele. Plastikowe pudełko na lunch z małymi dziurkami w górnej pokrywce spełniało określony cel. Odsuwając je jak najdalej od siebie, sięgnęła po leżącą na podłodze samochodu torebkę. Zamknęła drzwi i pośpiesznie pobiegła do kompanów. Zbliżając się, usłyszała bełkot więźnia błagającego o litość.

Nikt go nie słuchał.

– To powinno wystarczyć – powiedział wyższy, szczupły Europejczyk, rozglądając się wokół. Jego niski, krępy kompan nie spuszczał więźnia z muszki swojego pistoletu.

Kobieta postawiła pudełko na ziemi i cofnęła się z widoczną ulgą. Sięgnęła do wiszącej na ramieniu torebki, wyjęła z niej parę grubych skórzanych rękawic. Rzuciła wyższemu kompanowi najpierw prawą, później lewą.

– Twoja kolej – powiedziała. – Ja tego nie dotknę.

Szczupły mężczyzna bez słowa włożył rękawice, drugi porywacz kopniakiem przewrócił Miyazakiego na plecy. Japończyk płakał, łzy rozmazywały mu pył na policzkach.

Wysoki mężczyzna podszedł do pojemnika i przykucnął. Obserwowany przez resztę towarzystwa ostrożnie z jednej strony uchylił wieczko. Zerknął do środka, włożył dłoń w rękawicy do pudełka i ściskając w dłoni jego zawartość, wstał.

Na widok połyskliwego brązowego skorpiona w ręku oprawcy Miyazaki zaczął krzyczeć i się

wyrywać. Choć posiadał specjalizację w innej wąskiej dziedzinie nauki, od razu domyślił się, że ma do czynienia z arizońskim skorpionem drzewnym, jednym z najbardziej niebezpiecznych pajęczaków na ziemi.

Szarpał się, próbował uwolnić skrępowane ręce. Serce z przerażenia podchodziło mu do gardła. Nie mógł oderwać wzroku od niespokojnego skorpiona, jego długiego, wijącego się ogona, kolca pełnego jadu. Oprawca uniósł rękę i rzucił groźnego pajęczaka na pierś Azjaty.

Oceniając nową sytuację, w jakiej się znalazł, skorpion na chwilę zamarł. Przerażony Miyazaki wyciągnął szyję, brodę oparł na piersi, zabełkotał. Napinając każdy mięsień, obserwował jadowitego zabójcę.

Jednak skorpion myślał raczej o ucieczce. Gorączkowo przebierając odnóżami, zsunął się z żeber leżącego Japończyka na ziemię.

– Cholera. – Wysoki porywacz szybko podszedł do miejsca, w którym skorpion próbował się zakopać, i złapał go. Między palcami rękawicy posypały się strużki piasku.

Miyazaki odchodził od zmysłów.

– Spróbuj jeszcze raz – doradziła kobieta.

Mężczyzna kiwnął głową, przyglądając się z uznaniem małemu stworzonku w swojej dłoni. *Twarda sztuka*. Wiedział, że skorpiony istnieją od milionów lat. Nie zmieniają się, bo natura idealnie przystosowała je do otoczenia. Nawet wojna nuklearna, zabójcza dla ludzi, nie byłaby w stanie wyrządzić im większej szkody.

Nie chciał skrzywdzić pajęczaka, musiał tylko go podrażnić i uruchomić jego instynktowną reakcję obronną. Ścisnął go, czując przez rękawicę wijący się twardy pancerz. Uniósł skorpiona nad odkrytą szyję Japończyka. Rzucił go w miejsce, gdzie w dołku pod grdyką ofiary zebrała się mała kałuża potu.

Wylądowawszy na skórze człowieka, przestraszony skorpion zdecydował się na natychmiastowy atak. Zakończony kolcem ogon uderzył szybciej niż grzechotnik.

Z zaklejonych taśmą ust ofiary wydobył się charkot. Japończyk zaczął się miotać jak ryba wyrzucona na piasek. Skorpion odbiegł na bok, szukając schronienia. Na szyi ofiary pojawił się czerwony, szybko puchnący punkcik, oddalony tylko dwa centymetry od aorty.

– To powinno wystarczyć – powiedziała kobieta, nie zwracając uwagi na zduszone krzyki Miyazakiego.

– Rozwalę skurwysyna – syknął krępy mężczyzna, obserwując, jak w poszukiwaniu kryjówki skorpion ucieka w stronę skał. Podniósł pistolet, wycelował.

Kobieta trąciła go w ramię. – Żadnego strzelania.

– Zostaw go w spokoju – powiedział wysoki porywacz.

Wzruszając ramionami, mężczyzna schował broń. Ponownie skupili się na więźniu, którego ruchy stawały się coraz powolniejsze. Przewracał oczami, szok toksyczny już utrudniał pracę serca. Konwulsje ustały po minucie. Wyprężona szyja ofiary opadła na piasek, głowa odchyliła się na bok. Miyazaki znieruchomiał.

Wysoki mężczyzna uklęknął przy zwłokach. Składanym nożem rozciął taśmy na przegubach martwego naukowca, jednym szarpnięciem zerwał mu taśmę z ust.

– Teraz trzeba wszystko tak ułożyć, żeby wyglądało na wypadek – powiedziała kobieta.

Gdy zabójcy wyruszali w drogę, nad skalistymi szczytami ukazało się słońce. Była siódma rano. Jechali pod górę, dopóki nie skończyła się droga. Linia lasu została daleko w tyle. Silne podmuchy zimnego wiatru szarpały furgonetkę. Stanęli, kobieta pierwsza wyszła z samochodu. Sięgnąwszy po wiszącą na szyi lornetkę, zlustrowała zbocze. Lewo, prawo, góra, dół. Tylko skały i krzaki.

Mężczyźni też wysiedli z samochodu, podeszli bliżej. – Wszystko w porządku? – spytał ten wyższy, z ponurą miną.

– Miejmy to wreszcie z głowy, okej? – rzuciła kobieta i szeroko otworzyła tylne drzwi furgonetki.

Oślepiąca ostrym słońcem poranka Julia Goodman zacisnęła powieki. Serce podchodziło jej do gardła, nie mogła opanować drżenia rąk. Wiedziała, co za chwilę ją czeka. Zresztą domyślała się tego już od kilku dni, nie знаła tylko szczegółów.

– Wychodź – warknęła kobieta.

– Proszę... – Tego słowa Julia używała ostatnio tak często, że w pewnym sensie straciło ono dla niej jakiegokolwiek znaczenie. Ale pozostawało jej tylko mówić „proszę” i nie tracić nadziei. W jej oczach znów pojawiły się łzy. – Proszę.

Twarz kobiety pozostawała niewzruszona.

– Bardzo przepraszam. – Kolejne nadużywane przez Julię wyrażenie. – Bardzo żałuję, że mi się nie powiodło. Ja...

– Nie wysilaj się. Nic nas to nie obchodzi.

Mężczyźni jeszcze raz rozejrzeli się po okolicy i wyciągnęli ofiarę z samochodu. Julia wrywała się, kopała, ale jej prześladowcy byli silniejsi. Krzyk dziewczyny rozpląnął się w wyjąłym wietrze.

Otworzywszy boczne drzwi furgonetki, kobieta wyjęła pikowaną kurtkę, buty do chodzenia po górach i plecak, do którego schowali kluczyki do samochodu. Wynajęty na nazwisko Goodman dwa miesiące wcześniej niebieski renault espace był zaparkowany niedaleko stąd. Plan przewidywał wszystko. Po tragicznym wypadku w górach policja powinna szybko znaleźć porzucony pojazd i zidentyfikować jego kierowcę.

Porywacze działali w przemyślany sposób. Każdy szczegół operacji musiał być dopracowany. Za to brali pieniądze.

Kobieta rzuciła wyjęty z samochodu górski ekwipunek do stóp Julii. – Ubieraj się.

Dziewczyna, zanosząc się płaczem, wykonała polecenie. Ręce tak jej się trzęsły, że nie mogła zawiązać sznurówek. – Proszę – powtarzała. – Proszę...

– Chcesz umrzeć inaczej?

– W ogóle nie chcę umierać – szlochała Julia. Głośno płacząc, upadła na kolana. Bezwładnie osunęła się na kamienistą ziemię.

Mężczyźni ujęli dziewczynę pod pachy, poderwali do góry. Trzymali ją mocno, żeby się nie wierciła. W tym czasie kobieta założyła jej na ramiona plecak, zaciskając klamry z przodu kurtki. Julia nie miała sił do walki, nogi odmawiały jej posłuszeństwa, cały czas płakała.

– Widzisz? – powiedziała kobieta. – Gdy nie przeszkadzasz, wszystkim jest o wiele łatwiej.

Dwadzieścia metrów dalej ostro opadający teren kończył się przepaścią. Podtrzymując dziewczynę,

ruszyli w stronę urwiska. Każdy krok przybliżał zeszytniałą z przerażenia ofiarę do śmierci.

– Proszę, nie róbcie tego – błagała. – Znów spróbuję, będę pracować jeszcze więcej. Dajcie mi szansę. Trochę czasu. Ja...

– Stul gębę – warknął wysoki mężczyzna; Julia umilkła.

W nagłym przyplýwie energii wyrwała się z ich uścisku. Krępy mężczyzna próbował złapać ją za włosy, ale kopnęła go w nogę. Trafiony w pizczel metalowym czubkiem górskiego buta oprawca wrzasnął z bólu. Julia rzuciła się do ucieczki, skacząc po skałach jak kozica.

Nie uciekła daleko. Szybko ją dogonili, złapali i zaczęli ciągnąć z powrotem. Dziesięć metrów do krawędzi przepaści. Pięć. Trzy. Ściana była pionowa, kilkusetmetrowa, od samego patrzenia w dół kręciło się w głowie. Rozwiane włosy zakryły twarz ofiary, klejąc się do jej mokrych od łez policzków. Ujrzawszy przepaść, Julia zaczęła krzyczeć.

– Ładny widok – rzucił krępy zabójca. Na twarzy miał grymas, po niedawnym kopniaku jeszcze bolała go noga. Trzy pary mocnych rąk pchnęły dziewczynę do przodu. Julia potknęła się, potoczyła w dół. Zsuwając się, próbowała chwytać się trawy i kamieni. W ostatniej chwili czubki palców wcisnęła w jakąś szczelinę w skale, przestała zjeżdżać. Jej nogi już wisały nad przepaścią. Otwartymi ustami głośno łapała powietrze, w oczach miała obłęd.

– Cholera – sapnęła kobieta. – Dlaczego ci ludzie wszystko utrudniają?

– Nie pozwólcie mi spaść – błagała Julia. – Pomóźcie mi. Proszę. Chcę żyć!

– Zostawmy ją tak – zaproponował wysoki mężczyzna. – Długo nie wytrzyma.

Kobieta przecząco pokręciła głową. – Muszę widzieć, jak spada. – Pomyślała o opcjach, jakie im pozostały. Zejście do samej krawędzi przepaści i zepchnięcie ofiary nogą było zbyt ryzykowne. Przydałby się jakiś długi kij, ale niczego takiego w pobliżu nie było. Zauważywszy leżący na ziemi duży, ostry kamień, podniosła go i zważyła w ręce. Nadawał się.

– Nie – pisnęła Julia łamiącym się głosem.

Kamień trafił ją w kość policzkową. Z chrapliwym krzykiem dziewczyna runęła w przepaść.

Po czterech sekundach krzyk się urwał, a wraz z nim życie Julii Goodman.

Kobieta i jej kompani spokojnie wrócili do samochodu. Zastanawiali się, co zrobić z resztą dnia.

Rozdział drugi

*Le Val, Ośrodek Szkolenia Taktycznego
okolice Valognes w Normandii
sześć tygodni później*

Na biurku piętrzył się stos papierów, kontraktów, umów ubezpieczeniowych, wyciągów bankowych. Siedzącemu przy biurku Benowi Hope'owi wydawało się, że za chwilę zwariuje. Zastanawiał się właśnie, czy nie zrzucić wszystkiego na podłogę i nie pójść na spacer, gdy usłyszał głos w krótkofalówce. Strażnik przy bramie informował, że właśnie zjawił się pierwszy z nowej grupy klientów.

W kilka sekund później na dziedzińcu z dużą szybkością wjechało błyszczące czarne porsche boxer. Klucząc między zabudowaniami posesji, kierowca dwukrotnie głośno zatrąbił.

– Aha, jest nasz Wesolek – rzucił Jeff Dekker zza swojego biurka w głębi pokoju. – Co do minuty. – Dekker, dawny oficer elitarnej brytyjskiej formacji Special Boat Service, był teraz prawą ręką Bena i pomagał mu w prowadzeniu ośrodka.

Ben rzucił przyjacielowi krótkie, ostrzegawcze spojrzenie. Przez chwilę nawet zamierzał napomknąć o szacunku, jaki należy się wszystkim klientom, ale szybko się rozmyślił. Bogiem a prawdą, on też nie lubił Ruperta Shannona i był bardzo zadowolony z tego, że już od dwóch miesięcy nie musiał go oglądać. Po zdobyciu nowego kontraktu w Szwajcarii były kapitan jednostki spadochronowej i jego sześciu pracowników zamówili w Le Val dwudniowy kurs, który miał utrwalić ich wcześniej zdobytą wiedzę. Biznes rządzi się swoimi prawami, osobiste sympatie właściciela ośrodka szkoleniowego były tu nieistotne.

Razem wstali zza biurka i podeszli do okna.

– Tak czy owak, miałem już po dziurki w nosie tej papierkowej roboty – wyznał Jeff.

– Ja też.

Ramię w ramię stali przy oknie, obserwując samochód na podwórzu. W lśniącej karoserii i przyciemnionych szybach czarnego porsche odbijało się światło późnego popołudnia. Drzwi kierowcy otworzyły się, wysiadł Rupert Shannon. Ciemne lustrzanki na nosie, kurtka z czarnej, błyszczącej skóry, uśmiech filmowego amanta. Przyglądał potargane wiatrem jasne włosy, rozglądając się po podwórku.

Stojący obok Bena Jeff z niedowierzaniem pokręcił głową.

– Co za prózny pajac. Gdyby był z czekolady, zjadłby samego siebie.

Ben właśnie się obracał, by wyjść z biura i powitać przybysza, gdy w porsche uchyliły się drzwi pasażera.

– Cholera – mruknął Jeff. – Miałem przecucie, że z nim przyjedzie.

Podążwszy za wzrokiem kolegi, Ben zobaczył wysiadającą z samochodu Brooke Marcel. Luźno spięte gęste kasztanowe włosy, biała koszulka, dzinsy podkreślające szczupłą sylwetkę. Wyglądała świetnie. Benowi wydało się jednak, że Brooke nie zachowuje się z typową dla siebie swobodą. Szła z opuszczoną głową, powoli. Ciekawe, co jej jest, pomyślał.

– Po co tu przyjechała? – spytał. – Przecież do najbliższego szkolenia jej nie potrzebujemy. To tylko ćwiczenia praktyczne. Shannon nie zamawiał żadnych wykładów z psychologii zakładnika.

Jeff milczał.

– Poza tym co ona robi w jego towarzystwie? – dorzucił Ben.

Zdegustowany Jeff parsknął z wściekłością: – Nie widzisz?

– Oni są...

– Tak, wszystko na to wskazuje. Są razem.

– Od kiedy?

– Tego nie jestem pewien, ale chyba od ostatniego szkolenia. Zauważyłem, że od pewnego momentu zaczęli spędzać ze sobą coraz więcej czasu. Miałem ci o tym powiedzieć, ale jakoś zapomniałem. Pewnie dlatego, że mi się to nie spodobało. Wiesz, wyparcie ze świadomości i tak dalej.

Ben obserwował zbliżającą się kobietę. Brooke Marcel, ekspert w dziedzinie psychologii zakładnika, na wizytówce cały wachlarz stopni naukowych. Mieszkała w Londynie, przez wiele lat pracowała jako doradca wojskowych i policyjnych jednostek specjalnych. Wykłady w Le Val prowadziła od niedawna. Mogła mieć trzydzieści cztery, trzydzieści pięć lat. Nagle uświadomił sobie, że wcale nie zna jej tak dobrze, jak sobie wyobrażał.

– Co ty na to? – spytał Jeff.

– Nie moja sprawa.

– Nie bujaj. Między wami zawsze coś iskrzyło. Wspólne wieczory, wysiadanie w kuchni, popijanie wina, słuchanie muzyki, spacer. Nie udawaj, że ona cię nie obchodzi.

– Między nami nic nie było, to tylko twoje wymysły.

– Nie wiem, co ona widzi w tym nadętym głupku. Na pewno jesteś bardziej w jej guście.

Ben puścił słowa Jeffa mimo uszu. – Shannon może i jest durniem, ale płaci nam kupę forsy za szkolenia.

– Rozumiem. Chcesz więc, żebym był wobec niego uprzejmy.

– Czy wymagam za wiele?

Jeff, nie spuszczając Shannona z oczu, długo zastanawiał się nad odpowiedzią. – Myślę, że w tym przypadku twoje oczekiwania są zbyt wygórowane.

Teraz już Ben musiał zareagować. – Pamiętaj, że zawarliśmy umowę. W Le Val do klientów zawsze odnosimy się z szacunkiem. Bez wyjątku, okej? – Nawet dla niego słowa te zabrzmiały wyjątkowo sztucznie.

– A jeżeli są dupkami?

– Zwłaszcza wtedy, Jeff. – Ben ruszył w kierunku drzwi, otworzył je i wyszedł na zewnątrz. Shannon właśnie się zbliżał. Za plecami Bena Jeff wymamrotał coś pod nosem.

Od Bena mającego metr osiemdziesiąt wzrostu przybysz był o dziesięć centymetrów wyższy, dwadzieścia kilogramów cięższy i pięć lat młodszy. Uśmiechnął się szeroko, zamasztywym ruchem zdjął z nosa okulary przeciwsłoneczne.

– Ciao, Jeff, ciao, Benjamin! – krzyknął. – Jak leci, chłopaki?

– Nazywam się Benedict, nie Benjamin. Zresztą, mów mi Ben. – Początek nie był zbyt udany.

Shannon prychnął. – Nieważne. Benedict, Benjamin, Ben. Dla mnie jedno i to samo.

Czując, że jeszcze chwila i Jeff wybuchnie, Ben odwrócił się i rzucił mu ostrzegawcze spojrzenie. *To nasz klient.*

Za pleców Shannona wynurzyła się Brooke. – Hej, Ben – powiedziała cicho z uśmiechem.

– Cześć, Brooke – odrzekł Ben i, jak zwykle, przyjaźnie poklepał ją po ramieniu.

Shannon głośno odchrząknął. – Moi ludzie powinni tu zaraz być.

– Dobrze. Kwatery już są gotowe. – Ben wskazał ręką na niski budynek w głębi podwórza.

– Ja osobiście nie mam zamiaru tu kimać – stwierdził Shannon. Masywnym ramieniem objął Brooke i przyciągnął ją do siebie. – Zamówiłem pokój w Cour du Château. Moja pani zasługuje na trochę więcej luksusu niż to, co może zaoferować twoja buda.

– To kawałek drogi stąd.

Shannon wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Będę na miejscu rano o wyznaczonej godzinie. Nigdy się nie spóźnię.

– Niezły wózek, Rupert – sucho wtrącił Jeff, wskazując na porsche.

Oczy Shannona rozblęły. – Tak, wreszcie mi się udało. Rozbiłem bank.

– Czy chodzi o ten kontrakt, o którym mówiłeś mi przez telefon? – spytał Ben.

Shannon skinął głową. – Benjaminie, ty jeszcze mało wiesz o zleceniu od Steiner Industries. Odpowiadamy za bezpieczeństwo samego właściciela, Maximiliana Steinera. Facet jest miliarderm. Nieziemsko nadziany. Znaleźliśmy prawdziwą żyłę złota. Już nam płaci milion dwieście i szykuje kolejne roboty. Naprawdę cholernie wielkie roboty. Powinieneś zobaczyć miejsce, w które pojedziemy.

– Gratulacje, Rupert – powiedział Ben. – Wygląda na to, że twój nowy pomysł na życie dobrze wystartował.

– Bez kitu. A to tylko początek, kolego. Już się rozglądam za nowym biurem. Docklands, tuż nad rzeką, trzy piętra. Osobista sekretarka, recepcjonistki, wszystko, co tylko zechcesz.

– Cieszę się. Ale chciałbym ci udzielić pewnej rady. Wiem, że umowa ze Steinerem postawiła cię na nogi. Fajnie, że ci się udało. Ale nie szalej z pieniędzmi. Branża, w którą wszedłeś, nie jest łatwa. Nigdy nie wiesz, co ci przyniesie jutro.

Shannon aż poczerwieniał z irytacji. – Co ty nie powiesz? Poważnie?

– Chciałem ci tylko doradzić, żebyś zachował ostrożność, to wszystko. Nie wydawaj pieniędzy, zanim je zarobisz.

Shannon roześmiał się głośno, klepiąc Bena po ramieniu. – Jakbym słyszał swoją pieprzoną nianię. Wiesz, na czym polega twój problem? Starzejesz się, coraz wolniej pracuje ci główka.

– Za rok czterdziestka – odparł Ben. – Pora umierać.

– Ja pierdołę, czterdziestka na karku – chichotał rozbawiony Shannon. – Za pięć lat od siedzenia za biurkiem sflaczeje ci dupa i dostaniesz wrzodów.

– Może i masz rację – spokojnie odpowiedział Ben, słysząc za plecami sapanie rozjuszonego Jeffa Dekkera.

Shannon objął Brooke i uśmiechnął się do niej. – Nieważne. Zaraz uciekamy do hotelu, żeby zjeść coś dobrego.

– Jakież plany na jutro? – Ben spytał Brooke.

Wzruszyła ramionami. – Nic specjalnego.

– Rano robimy symulację działań przy porwaniu. Może chciałabyś się przyłączyć i trochę zabawić?

– Brzmi nieźle. – Uśmiechnęła się. – Będę na pewno.

Rozdział trzeci

*hotel Sheldon, Dublin
następnego dnia rano, 10.15*

Prezentacja spotkała się z owacyjnym przyjęciem. Stojący na podium doktor Adam O'Connor, podziękowawszy za oklaski, z uśmiechem zaczął zbierać notatki. Uczestnicy seminarium wstali i skierowali się do wyjścia. Adam zamknął laptop, wyłączył projektor.

Wykład był udany. Odpowiadając przez ostatnie piętnaście minut na zadawane pytania, Adam czuł, że wkrótce napłyną nowe zamówienia. „Inteligentny dom to dom przyszłości”, tak podsumował swoje wystąpienie. Wszystko wskazywało na to, że wielu uczestników spotkania podziela ów pogląd.

Zwijając kabel łączący laptop z projektorem, myślał o zmianach, jakie zaszły w jego życiu w ciągu ostatnich osiemnastu miesięcy. Pamiętał, jak koledzy z Uniwersytetu Nowojorskiego odradzali mu porzucenie bezpiecznego stanowiska pracownika naukowego, jak żartowali z jego planów powrotu do korzeni. Adam zawsze traktował swoje marzenia poważnie. Jego pierwszym krokiem po przyjeździe do Irlandii była zmiana nazwiska. Connor znów stał się O'Connorem. Arbitralna decyzja Anglików sprzed wieków o usunięciu początkowego „O” z irlandzkich nazwisk została anulowana. Adam O'Connor. Ładnie to brzmiało. Nowe nazwisko, nowe życie.

Na pieniądze też nie mógł narzekać. Sprzedaż technologii inteligentnych domów szybko stała się źródłem dochodów wielokrotnie wyższych od jego niedawnej amerykańskiej pensji. Wszystko wskazywało na to, że będzie jeszcze lepiej. Całkiem niezłe jak na pasjonata fizyki, stroniącego dotąd od realiów rynkowych, pomyślał. Decyzję o wyjeździe i zmianie pracy powinien podjąć już wcześniej. W Irlandii po prostu żyło się lepiej – powietrze było tu czystsze, przyroda piękniejsza, ludzie bardziej przyjaźni i otwarci na innych. Jego trzynastoletni syn Rory przywitał nowe środowisko z podobnym entuzjazmem. Dom w Wicklow Hills kosztował Adama siedem miesięcy pracy z architektem, ale był naprawdę piękny. Miał tuzin przestronnych pokoi i piękny wystrój z drewna i szkła, w którym – co całkiem naturalne – wykorzystano wiele opatentowanych pomysłów właściciela. Z okien rozciągał się zapierający dech w piersi widok na pobliskie jezioro. Teach na Loch – tak po irlandzku nazwał go Adam, zwolennik powrotu do języka przodków. Dom nad Jeziorem.

Przez chwilę myślał o Amy. Gdzie mogła teraz być? Podobno ktoś widział ją na tylnym siedzeniu harleya, przytuloną do pleców jakiegoś wielkiego, zarosniętego typa w dżinsach i skórzanej kurtce. Zmierziała do południowej Kalifornii. Jedno było pewne: zarówno syn, jak i mąż przestali już dla niej cokolwiek znaczyć.

Los jajogłowych, pomyślał Adam filozoficznie.

Ich ostatnia rozmowa miała miejsce rok temu, od tamtego momentu Amy już się nie odezwała. U niego też wszystko się zmieniło, a Rory przestał pytać o mamę.

Ostatni słuchacze opuścili salę wykładową. Adam zaciągnął suwak teczki, spojrzął na zegarek. Myślami już w domu, sięgnął po kupiony rano egzemplarz „Irish Times”.

Nagle usłyszał ciche kasznięcie. Odwrócił się i zobaczył, jak zza zasłony przy drzwiach wynurza się postać z jego przeszłości.

– Lenny – powiedział zdziwiony.

– Cześć, Adam – wymamrotał Lenny Salt pod nosem. Szedł między rzędami krzeseł, rozglądając się czujnie.

Nic się nie zmienił, pomyślał Adam. Nadal zachowuje się, jakby po piętach deptali mu Faceci w Czerni. Może bardziej się przygarbił, na jego skroniach pojawiło się więcej siwych włosów. Czarne pieńki zębów też wyglądały na rzadsze.

Uścisk dłoni Lenny’ego jak zwykle był mało energiczny.

– Co cię tu sprowadza, Lenny? – spytał Adam, głowiąc się nad powodem tej niespodziewanej wizyty.

– Dobra prezentacja, brawo.

– Chcesz kupić inteligentny dom? – rzucił Adam, natychmiast zdając sobie sprawę z niedorzeczności pytania.

Salt potrząsnął głową. – Co ty, człowieku. Musimy pilnie porozmawiać.

Dziesięć minut później siedzieli przy kawie w barze na parterze budynku. Adam nie miał chęci na dłuższą rozmowę, wiedział jednak, że tak łatwo się nie wykręci. Salt uwielbiał dyskusje w nieskończoność. Najbardziej ekscytowały go tematy całkowicie oderwane od rzeczywistości. Raz było to UFO, kiedy indziej sfingowane lądowanie na Księżycu. Potrafił perorować bez końca, błyszczącymi z podniecenia oczami świdrując swoją ofiarę. Rozmówcy Lenny’ego często nawet po trzech godzinach tyrady nie mieli pojęcia, o co mu chodzi, i z nieszczerym uśmiechem marzyli tylko o jednym: żeby ten koszmar się skończył.

Dzisiaj Lenny Salt wyglądał na bardziej pobudzonego niż zwykle. Szaleństwo zwykle pogłębia się z wiekiem, pomyślał Adam.

– O czym chciałeś ze mną pogadać, Lenny? Od razu ci powiem, że nie mam zbyt wiele czasu. – Wsunął rękę do kieszeni i dotknął palcami kluczyków do saaba. – Dzisiaj przyjeżdża do mnie siostra, zaraz powinna się pojawić nasza nowa pomoc domowa. Nie chcę też, by o tej porze Rory był sam. Muszę wracać do domu. – Sięgnął po filiżankę z kawą.

Ignorując monolog Adama, Lenny Salt przechylił się przez stolik.

– Julia nie żyje.

Adam zatrzymał filiżankę z kawą w pół drogi do ust. – Co?

– To, co usłyszałeś.

– Nasza Julia? Julia Goodman?

Salt skinął głową ponuro.

– Co, do cholery, jej się stało?

– Spadła w górską przepaść. W Hiszpanii. Ciało znaleziono tydzień temu. Nie żyła od dawna, podobno widok był straszny.

Adam hałaśliwie odstawił filiżankę na spodek i ukrył twarz w dłoniach. Tyle wspólnych chwil, tyle wspomnień... – Co za koszmarna wiadomość. Biedna Julia.

– To nie był wypadek, człowieku.

Adam gwałtownie uniósł głowę.

– Sama nie zginęła, nie ma takiej opcji. Ktoś ją załatwił. Zniknęła mi z radaru trzy miesiące temu. Podobno pojechała na samotną wycieczkę. Czy to cię nie dziwi?

– Dlaczego? Przecież uwielbiała podróże.

Salt sceptycznie uniósł brwi.

– Daj spokój, Lenny. O co ci chodzi? Julia nie żyje, a ty dorabiasz do jej śmierci jakąś zwariowaną historię.

– Wiem, co o mnie myślisz. Ale tym razem to nie żadne szaleństwo.

Adam poczuł, jak ogarnia go zniecierpliwienie. – No to powiedz mi, co w jej śmierci widzisz takiego dziwnego?

– Poczekaj, to jeszcze nie wszystko. Może jednak pozwolisz mi skończyć?

– Naprawdę nie wiem, do czego zmierzasz.

– Zginął też Michio.

– Michio często wyjeżdża bez uprzedzenia – powiedział O'Connor z irytacją. – Prowadzi badania, które wymagają ciągłych podróży. Wiesz, że właśnie teraz może się włóczyć po jakiejś wiecznej zmarzlinie, bo potrzebuje próbek lodu.

Salt potrząsnął głową. – Nic nie rozumiesz, Adam. Michio też nie żyje.

Zaskoczony Adam wybałuszył oczy.

– Umarł od ukąszenia skorpiona, bo zapomniał wziąć ze sobą odtrutkę. Aha, nie miał też przy sobie swoich tabletek na serce. Mało to prawdopodobne, co?

Adam w milczeniu wpatrywał się w filiżankę. Już mu przeszła ochota na kawę.

– Skąd ty to wszystko wiesz, Lenny? Dlaczego te wiadomości nie dotarły również do mnie?

– Bo zostawiłeś nas samych – odparł Salt. – Ja nie odwróciłem się od przyjaciół. Zostałem z resztą ekipy.

– Nie mówmy już o tej dziecinadzie, dobrze? Tamten projekt był zanadto oderwany od rzeczywistości, z czego zdajesz sobie przecież sprawę.

– Dla mnie, Julii i Michio był najważniejszy.

Adam nie miał ochoty wracać do starych dyskusji. – Skąd wiesz o Michio?

– Jego brat przysłał mi e-mail przed kilkoma tygodniami.

– I nie pomyślałeś, żeby mnie o tym od razu powiadomić? Dwójka naszych przyjaciół umiera, a ty nic?

– Nie miałem twojego numeru telefonu.

– Przecież ci go dałem.

Salt wzruszył ramionami. – Widocznie go nie zapisałem. Zresztą nie lubię używać telefonu. Nigdy nie wiesz, czy ktoś cię nie podsłuchuje. – Z konspiracyjną miną nachylił się nad stołem. – Posłuchaj mnie, człowieku. Coś się dzieje. Coś naprawdę złego.

– Nie myślisz chyba, że wypadki Julii i Michio są ze sobą powiązane?

– Oczywiście, że się łączą. Przecież to jasne, że ktoś ich zamordował. Z dawnej Ekipy Kammlera zostało tylko nas dwóch. Nie rozumiesz, że jesteśmy następni na liście?

Rozdział czwarty

Ten budynek ukryty w otaczającym Le Val gęstym lesie Ben nazywał rzeźnią.

Tutaj odbywały się najważniejsze ćwiczenia taktyczne dla uczestników szkoleń. W zbudowanych ze sklejki przepierzeniach widniały liczne ślady po ostrej amunicji. Stojąca w salonie, podziurawiona kulami kaliber .9 dwuosobowa kanapa czas świetności też miała dawno za sobą. Spod jej obicia wystawały strzępy gąbki, brakującą nogę mebla zastępowała cegła.

Trening z bronią palną dzisiaj nie był przewidziany. Brooke Marcel, z książką w ręku, w starej koszulce rugby i spranych dżinsach, siedziała na kulawej kanapie i odgrywała rolę Bardzo Ważnej Osoby, która z niewiadomego powodu znalazła się w tym na wpół zrujnowanym budynku. Pracownicy Shannona – Neville, Woodcock, Morgan, Burton, Powell i Jackson mieli za zadanie ją chronić przed atakiem porywaczy, czyli ludzi Bena. Szykujący się pojedynek miał obnażyć słabe punkty ekipy Shannona i pomóc stworzyć plan najbliższych szkoleń. Ochroniarze zaczęli się niecierpliwić, bo już od dłuższego czasu nic się nie działo.

Jeszcze przed ćwiczeniami Shannon zdecydował, że jako dowódca zespołu będzie przebywać w pobliżu osoby chronionej. Spacerował teraz wokół Brooke w czarnym kombinezonie bojowym, na udzie podskakiwała mu kabura z niezaładowanym Glockiem. Raz po raz zerkał na dziewczynę. Ogarniała go coraz większa irytacja. Jak dotąd nie słyszał nic poza śpiewem ptaków i szeptem wiatru w koronach drzew.

– Nie podoba mi się to miejsce – mruknął. – Za ciche.

Brooke w milczeniu przerzuciła kartkę książki, nie odrywając się od lektury.

– Ty ciągle czytasz – rzucił poirytowany Shannon. – Nigdzie nie ruszasz się bez książki. Nie rozumiem, jak można tak marnować czas.

– Przymknij się. – Brooke ucięła utyskiwania Shannona. – Masz mnie chronić, a nie konwersować ze mną.

Parsknął ze złością, podszedł do okna i spojrzał na zieloną gęstwinę wokół budynku. – Czy ten palant zapomniał o nas, czy co?

Brooke uniosła głowę znad książki. – Mówisz o człowieku, do którego przyjechałeś na szkolenie?

Nie odpowiedział. – Rusz dupę, Hope – mruknął pod nosem.

– Zaraz tu będzie.

– Nie dostanie się do ciebie, nie martw się. Nie ma takiej opcji. Moi chłopcy go zatrzymają. Steiner wybrał nas nie bez powodu, a konkurencja była ogromna. To jasne jak słońce, jesteśmy najlepsi na rynku. – Shannon uniósł pięść w geście zwycięstwa.

– Więc znajomości twojego wujka generała nie odegrały żadnej roli? – spytała Brooke, nie odrywając wzroku od książki.

Shannon ją zignorował. Nadal wyglądał przez okno, posapując ze złością.

– Może wcale nie powinniśmy tu przyjeżdżać. To tylko strata czasu i pieniędzy. Uważam, że jesteśmy już w stu procentach gotowi do pracy i nikt na świecie nie jest w stanie nam podskoczyć. – Odwrócił się od okna, uśmiechając się z satysfakcją.

I stanął jak wryty.

– Jak się masz, Rupert – powiedział Ben. „Kidnaper” siedział na kanapie obok Bardzo Ważnej Osoby, luźno trzymając w dłoni pistolet. Zapadające się ku środkowi poduszki sprawiły, że w dodatku był beczelnie przytulony do Brooke.

W tej samej chwili otworzyły się drzwi i do środka wmaszerował Jeff Dekker w towarzystwie Paula Bonnarda i Raoula de la Vegi, dwóch wojskowych instruktorów fitnessu i pracowników ośrodka. Za ich plecami dało się dostrzec leżących twarzami do podłogi ludzi Shannona; kostki i przeguby mieli związane plastikowym sznurkiem, a usta zakneblowane srebrnym przylepcem.

Shannon zaniemówił. Brooke siedząca przy Benie z trudem powstrzymywała śmiech.

Ben wstał i wsunął pistolet do kabury. – Powinieneś zachowywać większą czujność, Rupert. Mogłaby tu wmaszerować kompania reprezentacyjna, a ty byś niczego nie usłyszał. W przyszłości poświęcaj mniej uwagi swojej podopiecznej, a bardziej koncentruj się na pracy.

– Ale to ty zaproponowałeś Brooke na Bardzo Ważną Osobę – zaprotestował Shannon, odzyskawszy głos. – To jedna z twoich sztuczek, co?

– Wcale nie. Właśnie poznałeś kolejną mądrą zasadę – odparł Ben. – Nie wolno mieszać dwóch różnych spraw: emocji i pracy. Musimy się tym zająć w najbliższym czasie. – Wstał i wyciągnął rękę do Brooke. – Przerwa na kawę?

– Z przyjemnością – odpowiedziała Brooke.

– Nie będzie żadnej, kurwa, kawy – ryknął Shannon, wyszarpując glocka z kabury i kierując go w stronę Bena. – To jeszcze nie koniec ćwiczeń. Zostaw ją.

Nienabity pistolet nie mógł Bena przestraszyć, jednak bezsensowny gest Shannona trochę go zirytował.

– Schowaj glocka, Rupert. Tych ćwiczeń ci nie zaliczam. Po przerwie wrócimy do tematu. Potrenujemy aż do momentu, kiedy twój zespół nauczy się skutecznie chronić osobę zagrożoną porwaniem. Musisz zapracować na ten milion, który dostajesz od Steinera. Nie chcesz przecież wrócić ze Szwajcarii z podkulonym ogonem, prawda?

Shannona zaślepiła furia. – Odsuń się od niej – wrzasnął. – Zostaw ją. I klękaj na podłogę.

– Rupercie... – odezwała się Brooke. Nie zwracając na nią uwagi, Shannon zrobił kolejny krok w stronę Bena.

– Odłóż broń – powiedział cicho Ben. – To tylko strata czasu. Ostrzegam cię po raz ostatni, rozumiesz?

Rozjuszony Shannon z twarzą czerwoną jak burak nie opuszczał lufy pistoletu. – Na kolana, do kurwy nędzy! – krzyknął. – Rzuć broń!

Przyjrząwszy mu się uważnie, Ben zrozumiał, że będzie musiał coś z tym fantem zrobić. Ruch, jaki wykonał, na pewno był delikatniejszy i wolniejszy niż ten, którego go nauczono w oddziałach specjalnych. Wyszarpnął broń z ręki Shannona, nie łamiąc mu przy tym palca w osłonie spustu. Nie chciał go okaleczyć.

Zanim Shannon uświadomił sobie, co się stało, Ben rzucił odebranego mu glocka Jeffowi, który stał z boku i przyglądał się całej scenie z rozbawieniem.

– W prawdziwym świecie twoje sztuczki z SAS są głównie warte – wykrztusił Shannon.

– Zmiana planu zajęć – powiedział Ben. – Rezygnujemy z przerwy na kawę. Ćwiczymy dalej, do obiadu. Albo do kolacji. Nie wyjdziemy stąd, dopóki nie nauczycie się chronić ludzi przed porywaczami. Dotarło, Shannon?

Shannon w milczeniu podszedł i zamierzył się do ciosu.

– Na litość boską – jęknął Jeff.

Hak Shannona był sygnalizowany, Ben miał wystarczająco dużo czasu na unik. Nie chcąc wdawać się w bójkę, cofnął się o krok.

– Co z tobą, majorze Hope? Boisz się walki?

Shannon znów się zamachnął, Ben znów się uchylił.

– Nie ośmieszaj się, Rupert – krzyknęła Brooke. – To szkolenie, nie uliczna walka. Co się z tobą dzieje?

Ale Shannon zapomniał o rozsądku. – Jesteś starym fajtłapą, Hope.

Ignorując awanturnika, Ben odwrócił się do swoich towarzyszy. – Dostyc tego. Wracajcie na miejsca. – Klasnął w dłonie i wskazał na spętanych jak kurczaki na targu pracowników Shannona. – Paul, Raoul, rozwiążcie ich.

Zarówno wyraz twarzy Jeffa, jak i wrodzony instynkt ostrzegły Bena przed niebezpieczeństwem.

Wszystko zdarzyło się w mgnieniu oka. Obracając się na pięcie, Ben dostrzegł, że Shannon rzuca się w jego stronę z zaciśniętą pięścią.

Gdyby Ben się nie poruszył, uderzenie trafiłoby go w skroń. Cios atletycznie zbudowanego napastnika mógłby spowodować utratę słuchu. Albo uraz oka. Lub coś jeszcze gorszego.

Tym razem Ben nie oszczędził przeciwnika.

Shannon wyrznął na plecy z taką siłą, że prawie połamał deski podłogi. Ściskając ramię, wił się z bólu. – Ty skurwielu! – ryczał.

Brooke podbiegła i uklękła przy leżącym. – Nie ruszaj się.

– Ten skurwysyn złamał mi rękę!

Spojrzała ze złością na Bena. – Czemu to, do cholery, zrobiłeś?

Ben nie odpowiedział. W pokoju panowała cisza jak makiem zasiał, słychać było tylko jęki Shannona. Związani ochroniarze nadal leżeli na podłodze, z przerażeniem obserwując spektakl rozgrywający się na ich oczach.

Jeff spojrzał na przyjaciela, unosząc brew. Ben wiedział, o co mu chodzi. *Klient jest najważniejszy?*

Shannon leżał na podłodze, pojękując z bólu.

Ben spojrzał na instruktorów. – Raoul, zadzwoń po karetkę.

W dwadzieścia minut później na dziedzińcu zamigotały niebieskie światła ambulansu. Sanitariusze położyli Shannona na nosze. Ben przyglądał się im z daleka w milczeniu. Nie miał ani siły, ani ochoty na analizę tego, co się przed chwilą zdarzyło. Brooke wsiadła do karetki, sanitariusze zatrzasnęli drzwi.

– Ben? – odezwał się Jeff. – Pojadę z nimi. Ty tu zostań, okej?

Ben skinął głową. – Okej.

Miotany sprzecznymi uczuciami Jeff podbiegł do karetki i usiadł w szoferce. Na krętą drogę prowadzącą do bramy wjechali już na sygnale. Na pewno wezmą go do szpitala w Valognes, pomyślał Ben.

Nie pozostało mu nic innego jak tylko czekać na rozwój wypadków. Usiadł na niskim murku i zapalił papierosa. Jego ulubiony owczarek alzacki Storm podszedł i polizał go po twarzy. Wdzięczny za towarzystwo Ben pogłaskał i przytulił psa.

Ochroniarze Shannona przemaszerowali drugą stroną podwórza, popatrując spode łba na Bena.

Zniknęli w budynku, gdzie mieli swoje kwatery. Wchodzący jako ostatni Neville jeszcze raz się obejrzał i rzucił mu wrogie spojrzenie. Huk, z jakim zatrzasnął oliwkowozielone drzwi, odbił się ostrym echem od otaczających podwórze budynków. Paul i Raoul na pewno jeszcze siedzą w biurze, oczekując na instrukcje, pomyślał Ben.

Nie wiedział, co w tej sytuacji im powiedzieć. Chyba tylko to, że dalsze zajęcia są odwołane.

Wydmuchnął obłoczek dymu papierosowego i podrapał Storma za uszami.

– Cóż, piesku. Ten poranek zdecydowanie nam się nie udał.

Rozdział piąty

Południowe przedmieścia Dublina przestały być widoczne w tylnym lusterku saaba. Adam O'Connor wyjechał na zieloną, otwartą przestrzeń. Z sześciu głośników odtwarzacza CD rozbrzmiewał średniowieczny chorał Thomasa Tallisa, ale Adam myślami był gdzie indziej. Zastanawiał się nad przyczyną śmierci przyjaciół. Miał poczucie winy, że tak szybko po wyjeździe z Nowego Jorku stracił z nimi kontakt.

Michio, Julia i on. Tamte czasy wspominał z nostalgią. Na pierwszy rzut oka ich trójka sprawiała wrażenie niezbyt dobranej. Poważny amerykański uczyony, impulsywny, zawsze uśmiechnięty astronom z Japonii i młoda, błyskotliwa i pracowita pani dziekan Wydziału Fizyki Stosowanej Uniwersytetu w Manchesterze. Ich spotkania dla Adama były przyjemnością i odtrutką na rutynę zajęć ze studentami, badania, wykłady, seminaria i uczelnianą politykę. Zaprzyjaźnili się bardzo blisko, niemal tak, jak przyjaźnią się dzieciaki w szkole średniej. Połączyła ich wspólna pasja. Wszyscy interesowali się dorobkiem naukowym Hansa Kammlera, prawie całkowicie zapomnianego nazistowskiego inżyniera i generała SS, któremu w 1943 roku Hitler zlecił badania pewnych naprawdę dziwnych zjawisk.

Po raz pierwszy spotkali się w Cambridge na średnio inspirującym seminarium dla fizyków. Jeden z porannych wykładów okazał się tak nudny, że Adam usnął. Obudziło go szturchnięcie siedzącego obok małego, uśmiechniętego Japończyka. Zażenowany Adam zorientował się, że nie dość, że spał, to w dodatku jeszcze chrapał.

Po wykładzie rozweselony Michio udał się z Adamem na lunch. W kantynie usiedli razem. Po drugiej stronie stolika siedziała młoda, bystrooka doktor fizyki, która przedstawiła się jako Julia Goodman.

Była to przyjaźń od pierwszego wejrzenia. Na popołudniowe wykłady wrócili już razem. Gdy okazało się, że mieszkają w tym samym hotelu, umówili się na wieczorne spotkanie w miejscowym barze.

Wtedy to po raz pierwszy w ich gronie padło nazwisko generała Kammlera. O naukowych dokonaniach nazisty Michio opowiadał z takim entuzjazmem, że żadne z nich nie zauważyło, kiedy minęła północ. Wkrótce cała trójka doszła do zgodnego wniosku, że dziwnym badaniom prowadzonym przez pupilka Hitlera pod koniec drugiej wojny światowej należałoby się przyjrzeć bliżej.

– Bardzo często nawet najwspanialsze teorie w zetknięciu z okrutnymi i mało eleganckimi prawami fizyki pryskają jak bańki mydlane – studził ich zapach Adam.

– Wiem na pewno, że prace Kammlera przyniosły oczekiwane wyniki – powiedział Michio, patrząc na nich poważnie.

– Ale implikacje tego, co mówisz... – wtrąciła Julia.

– Mózg się lasuje, co? – Michio uśmiechnął się wesoło. – Ale to jeszcze nie wszystko. Przygotujcie się na więcej.

Historia, jaką usłyszeli, dotyczyła niesamowitego, przyprawiającego o zawrót głowy projektu naukowego. Była to nauka w najczystszej postaci, niemająca nic wspólnego z ideologią czy polityką. Zapomnieli, że mówią o osiągnięciach generała SS, który pod koniec wojny był jednym z pięciu najważniejszych dygnitarzy dogorywającej Trzeciej Rzeszy.

Adam widywał się z Michio i Julią w Nowym Jorku, Tokio lub Londynie, między spotkaniami utrzymywał z nimi kontakt telefoniczny i e-mailowy. Dyskutowali o niesamowitych badaniach niemieckiego generała, roztrząsali różne hipotetyczne scenariusze. Stali się prawdziwym, zgranym

zespołem. Pewnego dnia nawet nadali sobie żartobliwe miano „Ekipa Kammlera”. Gdyby nie Ekipa – no i oczywiście Rory – rozstanie z Amy byłoby dla Adama o wiele trudniejsze.

W rok później, z rekomendacji Julii, do Ekipy dołączył Lenny Salt. Lenny utrzymywał, że z wykształcenia jest fizykiem. W rzeczywistości był tylko zwykłym pomocnikiem w laboratorium uniwersyteckim, gdzie dla Julii wykonywał zadania, które równie dobrze mogły być zlecane studentom pierwszego roku. Adam nigdy nie uważał go za dobrego kandydata na członka Ekipy. Gdy wszyscy zorientowali się, że oprócz paranoicznych teorii Lenny nie jest w stanie wnieść do ich prac niczego nowego, na usunięcie go z Ekipy było już za późno. Nikt zresztą nie chciał sprawiać przykrości Julii.

Obecność Lenny’ego Salta spowodowała, że entuzjazm Adama osłabł. Doktor jeszcze kilka razy spotkał się z przyjaciółmi, robił to jednak ze świadomością, że rozstanie jest nieuniknione. W tym czasie też podjął decyzję o odejściu ze stanowiska wykładowcy uniwersyteckiego i utworzeniu firmy sprzedającej technologię inteligentnych budynków. Kupił działkę w Irlandii, zaprojektował i zaczął budować swój wymarzony dom, Teach na Loch. Czasu na utrzymywanie kontaktów z członkami Ekipy miał coraz mniej.

Nie oznaczało to, że projekt Kammlera przestał go fascynować. Nawet po założeniu firmy i przeprowadzce do Irlandii potrafił ślęczeć nad obliczeniami do późnej nocy. Wyniki swoich badań trzymał na czterech płytach CD, które chował do sejfu. Wiedział, że powinien się skupić na rozwoju firmy, jednak Kammler i jego tajemniczy projekt nie dawały mu spokoju.

Irytowała go konieczność zachowywania prowadzonych badań w tajemnicy, wiedział jednak, że wdrożenie teorii Kammlera w życie przyniosłoby miliardy. Sukces otworzyłby wiele zamkniętych dotąd drzwi, stwarzając wprost nieograniczone szanse rozwoju dla licznych dziedzin nauki. Miliony, jakie Adam mógł zarobić w swojej firmie, były niczym wobec potencjalnych dochodów z tytułu nowych, rewolucyjnych rozwiązań.

Ogromny potencjał projektu mógł być powodem śmierci Julii i Michio, pomyślał Adam. Przypomniał sobie ostrzeżenie Lenny’ego i zimny dreszcz przeszedł mu po plecach.

Spojrzał w lusterko wsteczne saaba. Czy ten czarny mercedes aby nie jedzie za nim od samego Dublina? Wpatrując się w podejrzany samochód, omal nie wjechał w tył hamującej przed nim ciężarówce. Wyprzedził ją, znów zerknął w lusterko. Mercedes nie dawał za wygraną.

Cholera. Siedzą mi na ogonie.

Przyśpieszył, samochód za nim zrobił to samo. Denerwował się coraz bardziej. Nagle, na prostej, czarny mercedes przemknął koło niego z prędkością co najmniej stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę.

Przejeżdżając koło parkingu najbliższej stacji benzynowej, zauważył, jak z pojazdu, który napędził mu takiego stracha, wysiada kobieta z dzieckiem. Uśmiechnął się z ulgą i zażenowaniem.

Przeklinał w duchu Lenny’ego Salta. To on wpędził go w ów absurdalny nastrój. Tylko ktoś naprawdę stuknięty mógł opowiadać takie bzdury o śmierci przyjaciół. Typowe dla ludzi, którzy wszędzie doszukują się spisku. Przerośnięte ego, czy coś w tym rodzaju, pomyślał. Czego mógł się bać głupi, stary niedojda, bezpodstawnie mieniący się fizykiem? Komu mogłoby zależeć na jego usunięciu?

Znów wrócił myślami do śmierci Julii i Michio. Faktycznie zaistniał tu zbieg okoliczności, ale na pewno nic więcej.

Jechał dalej, gdy nagle w samochodowym systemie audio usłyszał sygnał komórki. Dzwoniła agencja pracy, przez którą załatwił pomoc domową. Ze zmarszczonym czołem wysłuchał wiadomości, że z powodu wypadku drogowego nowa pracownica zjawi się u niego dopiero jutro.

– Nic poważnego, mam nadzieję?

– Jest w szoku, to wszystko. Przyjedzie do pana jutro po południu.

Adam odpowiedział, że będzie na nią czekał, i zakończył rozmowę. Sapnął zirytowany. No pięknie. Sam będzie musiał wysprzątać dom przed wizytą Sabriny.

Nie tragizuj, Adam. Dasz sobie radę. Nacisnął klawisz odtwarzacza CD, zmienił Tallisa na dynamiczny koncert skrzypcowy Vivaldiego. Koncentrując się na jeździe, próbował zapomnieć o Julii i Michio.

Po dwóch minutach telefon znów zadzwonił.

– Tata?

– Cześć, Rory.

– Gdzie jesteś?

– Musiałem zostać dłużej w pracy, ale już wracam. Będę w domu za pięć minut.

– Nie martw się, wszystko pod kontrolą. Właśnie przyjechała.

– Co, Sabrina już jest u nas?

– Nie.

– No to kto? – spytał Adam. Rory rozmawiał w ten sposób: krótka odpowiedź na zadane pytanie, ani słowa więcej.

– Nie Sabrina, panie Zapominalski – odparł Rory z udawaną desperacją w głosie. – Nasza nowa gosposia.

– Nie lubię, kiedy tak ze mną rozmawiasz. Ale o czym ty w ogóle mówisz? Przed chwilą dzwonił do mnie ktoś z agencji pracy z wiadomością, że nasza pomoc domowa zjawi się dopiero jutro.

– Nic nie rozumiem – odparł Rory z teatralną powagą. – Może postanowili jednak przysłać kogoś wcześniej?

– Skąd wiesz, że to gosposia?

– Bo przed chwilą z nią rozmawiałem przez interkom. Powiedziała, że nazywa się Sue. Wpuściłem ją na podwórko, właśnie parkuje. Widzę ją z okna. – Przerwał na chwilę. – Skąd ona jest? Ma jakiś dziwny akcent.

– Za dwie minuty będę na miejscu, dobrze?

– Z nią jest jeszcze dwóch facetów!

– Dwóch facetów?

– Tak, właśnie podchodzą do drzwi.

– Rory, zaraz tam będę. Nie otwieraj...

Chłopiec rozłączył się. Adam skręcił w prowadzącą do domu drogę. Jeszcze trzy kilometry. Zadzwonił do agencji pracy. – Mówi Adam O'Connor. Rozmawialiśmy dwie minuty temu.

– Tak, przypominam sobie. Słucham pana – odpowiedział spokojny głos sekretarki.

– Czy ja przed chwilą dobrze panią zrozumiałem, że pomoc domowa zjawi się u mnie dopiero jutro?

– Tak.

– Więc skąd u mnie wzięła się jakaś Sue? – krzyknął z irytacją. – I kim są ci dwaj faceci z nią? Myślę, że w waszej agencji panuje chaos. I że to źle o was świadczy.

– Nie pracuje u nas żadna Sue – odpowiedziała kobieta oschle. – Musiała zajść jakaś pomyłka. Poza

tym muszę powiedzieć, że nie podoba mi się pana ton.

– W takim razie pocałujcie mnie gdzieś. Znajdę innego pośrednika.

W sekundę po przerwaniu połączenia Adam poczuł drżenie rąk. Wcisnął pedał gazu, wskazówka szybkościomierza poszybowała w górę. Gdy wyjechał z za wzgórze, zobaczył swój piękny, samotny dom nad jeziorem. Wszędzie panował spokój. Rozległe tafle szkła na budynku i powierzchnia jeziora odbijały promienie słońca. Łagodne zielone pagórki w tle dopełniały idylliczny krajobraz.

Adam miał jednak wrażenie, że stało się coś dziwnego.

Kamera rozpoznała jego samochód, brama otworzyła się automatycznie. Szybko wjechał na teren posiadłości i zaparkował tuż przed domem.

Nie zobaczył żadnej furgonetki. Trzęsąc się z nerwów, wyszedł z klimatyzowanego saaba na gorące słońce. Nogi uginały mu się w kolanach. Podeszedł do drzwi wejściowych, do mikrofonu głośno rzucił hasło *Konstantynopol*. Zamek z trzaskiem ustąpił. Pchnął drzwi i wbiegł do przestronnej, jasnej sieni.

– Rory! – W tak dużym domu czasami trzeba krzyczeć, żeby być usłyszanym. Jednak Adam od momentu wejścia do środka czuł, że dom jest pusty. – Rory?

Cisza. Ani Rory’ego, ani gosposi. Okazało się, że w salonie nie ma nikogo. Przeciął hol, wbiegł na schody. Pchnięciem otworzył drzwi do pokoju syna.

„Tato, nie wpadaj w ten sposób” – zazwyczaj mówił Rory, odwracając się do niego z irytacją. Ale jego pokój też był pusty. Komputer do gry w szachy, telewizor, odtwarzacz Blu-ray, notes i składany model samolotu szpiegowskiego były na swoim miejscu. Brakowało tylko Rory’ego.

Adam poczuł, że oblewa go zimny pot. Zbiegł na dół, znów zawołał. Bez skutku. Zajrzał do ogrodu i do basenu. Syna nie było.

Zadzwoił telefon. Adam rzucił się biegiem, by go odebrać.

– Profesor O’Connor? – Męski głos, cichy, spokojny, z akcentem osoby wykształconej.

– Tak.

– Profesor Adam O’Connor?

– Kto mówi?

– Mamy pańskiego syna.

Usłyszawszy te słowa, Adam omal nie zemdlał. Drżał tak mocno, że musiał oburącz przyciskać słuchawkę do ucha.

– Proszę dokładnie zastosować się do moich instrukcji – kontynuował spokojny głos. – Jeżeli skontaktuje się pan z policją lub kimkolwiek innym, Rory zginie. Jeżeli bezzwłocznie nie zrobi pan dokładnie tego, czego od pana zażądam, Rory zginie. Bez wcześniejszego ostrzeżenia. Czy pan mnie zrozumiał?

Adam wydusił z siebie ciche „tak”.

– Dobrze. Teraz proszę mnie uważnie wysłuchać.

– koniec darmowego fragmentu –
zapraszamy do zakupu pełnej wersji

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

00-590 Warszawa

ul. Marszałkowska 8

tel. 22 6211775

e-mail: info@muza.com.pl

Dział zamówień: 22 6286360

Księgarnia internetowa: www.muza.com.pl

Konwersja do formatu EPUB: [MAGRAF s.c.](#) , Bydgoszcz

Spis treści

Okładka
Strona tytułowa
Strona redakcyjna
Motto
Podziękowania
Podziękowania
Rozdział pierwszy
Rozdział drugi
Rozdział trzeci
Rozdział czwarty
Rozdział piąty
Wydawca

Niniejsza **darmowa publikacja** zawiera jedynie fragment pełnej wersji całej publikacji.

Aby przeczytać ten tytuł w pełnej wersji [kliknij tutaj](#).

Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez NetPress Digital Sp. z o.o., operatora [sklepu na którym można nabyć niniejszy tytuł w pełnej wersji](#). Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody NetPress oraz wydawcy niniejszej publikacji. Zabrania się jej od-sprzedaży, zgodnie z [regulaminem serwisu](#).

Pełna wersja niniejszej publikacji jest do nabycia w sklepie internetowym [Nexto.pl](#).